

## Wybranka Mero

### fragment

Jak co roku po zakończeniu egzaminów maturalnych, gdy już ostatni abiturient opuści mury mojej szkoły (patrząc na nią z ulgą lub obrzydzeniem), gdy już podpiszę wszystkie protokoły i większość bardziej lub mniej potrzebnych kuratorskich sprawozdań (które sporządza C., mój nudny, ale solidny zastępca), biorę w rękę laskę, a w drugą parasol (jeśli na niebie kłębią się złowrogie chmury), do chlebaka wkładam małe składane krzeselko, czasem pelerynę, przygotowaną wcześniej kanapkę, butelkę wody, fajkę dobrze nabitą tytoniem, w końcu moją małą książeczkę, i ruszam starą ścieżką na drugi brzeg jeziora. Dotarcie na miejsce zajmuje mi ponad godzinę, muszę bowiem obejść wokół stare, zarosłe zielskim torfowisko. Popołudniowe słońce albo grzeje mocno, albo jest parno i zbiera się na deszcz, albo już pada; bywa też, że niebo cedzi ulewą. Niezależnie od pogody rozkładam turystyczny stołeczek i siadam u podnóża skarpy schodzącej stromo do dzikiej plaży nad małą zatoką, zarośniętą trzcina i tatarakiem. Wschodnia strona Wyspy Konwaliowej oddalona jest od brzegu jeziora o jakiś kilometr i jeśli mamy dobrą pogodę dobrze stąd widać rosnące na ostrowi stare dęby i sosny. Majowych konwalii niestety nie da się dojrzeć, chociaż łąka nad jeziorem ma tam delikatną żółto-różową barwę (są, są takie konwalie). Nad wodą krąży mnóstwo ptaków, gdy szczęście dopisuje, widzę siwe czaple, jak dostojnie przepływają w przywyspowym powietrzu. Zapalam fajkę (jeśli silnie wieje od jeziora, trwa to dłuższą chwilę), otwieram moją mocno już podniszczoną książeczkę, kartkuję ostrożnie i czytam parę stron, od czasu do czasu popatrując na piasek na plaży. Czy spodziewam się coś zobaczyć? Tamte ślady i żółte sandały na brzegu? Czasami odruchowo spoglądam przez prawe ramię, czy aby na szczycie skarpy nie pojawi się znienacka stary dom z kamienia. Nie zjawia się nigdy, oni zresztą też nie, co mnie specjalnie nie dziwi, choć wiem, że pamięć i wyobraźnia chętnie podsunęłyby mi parę zupełnie rzeczywistych obrazów. Tak spędzam godzinę lub dwie, fajka dopala się, słońce gaśnie, deszcz – jeśli był – przycicha, ptaki powracają na Wyspę i w szuwały, a ja wędruję do naszego miasteczka. I tak rok w rok o tej samej porze, z małą przerwą na czas studiów, służby wojskowej i krótkiej wędrowki po świecie. Rok w rok od tamtej wiosny.

W liceum, które kiedyś kończyłem, uczę teraz literatury, od jakiegoś czasu rada miasta powierzyła mi także obowiązek przewodzenia naszej niewielkiej szkolnej społeczności. Wróciłem do naszego miasteczka po zaliczeniu kilku niezbyt udanych prób założenia gniazda

w jednym z uniwersyteckich ośrodków. Powrót, choć z początku bolesny, nawet mnie specjalnie nie zdziwił; od tamtej wiosny wiedziałem, było to dla mnie absolutnie jasne, że prędzej czy później i tak mnie czeka.

Gdy przed laty zdawałem ostatnie egzaminy maturalne, wcale przecież nie było dla mnie oczywiste, że pojedę gdzieś po dalszą naukę, że w ogóle stąd wyjadę. Podobnie jak ja myśleli moi szkolni koledzy: Rufus, Długi, Jaszczur, Janko Muzykant, Sewer, dwaj młodszy bracia Li oraz inni chłopcy z naszej paczki: Maks, Pepe i starsi z braci Li, wszyscy, którzy skończyli szkołę parę lat wcześniej i którym wcale dobrze wiodło się w naszej nieco sennej, nieco omszałej miejscinie. Pracy, nie nazbyt ciężkiej, było tu dość, letnicy co roku przyjeżdżali do domków nad jeziorem, więc i dziewczyn – przynajmniej w czasie wakacji – nie brakowało, okolica była przyjemna, darmowych ryb w jeziorze wciąż sporo, lasy jeszcze niezdeptane, łąki ciepłe i miękkie, ludzie spokojni i ustępujący dla świętego spokoju młodym z drogi. Takie też wydawało nam się życie w miasteczku – łatwe i przyjemne, choć czasami leniwe. Wymyślaliśmy więc często coś dla hecy, dla zabicia nudy, dla zgrywy; a to nocą rozwaliliśmy starej Żydówce straganiarce kram na targu (że niby wichura), tak że cały następny dzień musiała spędzić na doprowadzeniu budy do jakiego-takiego porządku, a to spaliliśmy wyliniałego psa złośliwemu dziadowi, który włóczył się po okolicy, ludzi zaczepiał i studnie brudził, a to wrzuciliśmy chciwemu grubemu aptekarzowi nadmuchane żaby za kontuar, a one pękały z hukiem jak granaty w ogniu, a to podrzuciliśmy szczura do okienka głupiej kioskarce, która *młodzieży* nie chciała sprzedawać papierosów, to znów przemądrzałemu księdzu dobrodziejowi zwinęliśmy z zakrystii i utopiliśmy w jeziorze wszystkie ornaty, gdy odprawiał pierwszą poranną mszę, to przymusiliśmy do tego i owego którąś nadto oporną i nadto dobrze wychowaną panienkę z kolonii nad jeziorem. Nie należy sądzić, że była z nas jakaś łobuzerka, chuliganeria, czy coś w tym rodzaju, że było w nas jakieś zło wcielone, nie. Mnie tego psa nawet było trochę żal, ale dziadyga załazł ludziom za skórę i należała się – tak wówczas uważałem – skurwysynowi odpłata. Ksiądz był w sumie w porządku, ale za dużo na nas pokrzykiwał z ambony i – byłem wtedy pewien – przydała mu się taka niewielka nauczka. Chłopaki uczyły się przyzwoicie (tylko Sewer repetował czwartą klasę), a ja, Piotr Merowik, nawet zupełnie dobrze; rodziny mieliśmy porządne, domy i obejścia zadbane. Wszystko brało się z nudy i naszego kozackiego, może nadto okrutnego stylu. *Dawaj rebiata, pogulajem*. Tak to widziałem wtedy, tamtej wiosny, gdy po raz ostatni zamykały się za mną drzwi klasy, w której urzędowała Wysoka Komisja. Ukłoniłem się jeszcze w progu szarmancko paniom profesorkom, pokazałem im (gdy już nie mogły widzieć) wielce obraźliwy gest, zmiąłem w

ręce zapisaną kartkę, wyrzuciłem do kosza obmierzył krawat, roztrzepałem ulizaną grzywkę. Jeszcze wyniki i już wakacje. Co robić w ż y c i u dalej – nie interesowało mnie zupełnie.

Pierwszy zauważył ją Pepe, który zarabiał na bazarze sprzedawaniem jabłek. Po te jabłka, szampiony, koksy i kosztele, jeździł zdezelowanym roburem ojca do sadowników aż pod granicę z sąsiednim okręgiem i zupełnie nieźle na tym prostym interesie wychodził. Więc, jak wieczorem opowiadał z przejściem w „Złotym Linie”, naszej ulubionej tawernie na przystani, przyjechała na rowerze tuż po otwarciu targowiska i położyła swój koszyk z rybami na jednym z wolnych jeszcze o tej porze stołów. Tuż koło jego kramu, tuż obok skrzynek pachnących jabłkami. Usiadła na tym stole i zaczęła czytać. Gazetę? Nie, chyba jakąś książkę. Od czasu do czasu zachwalała swój towar, ale bardziej zajęta była czytaniem. Ryb – zdaje się – nie było za dużo, rozeszły się szybko i tyle ją Pepe widział. „To wszystko? I co w tym dziwnego? Bo to jedna dziewczyna handluje rybami na targu?” „Nie w tym rzecz, idioto, ona jest jakaś inna”. „Inna? Jak wygląda? Ma ogon i pazury, a ze ślepiów lecą jej iskry?”. „Nie, kretynie, jest inna i tyle. A twarzy nawet nie widziałem, bo nosi kaptur na głowie. Nawet nie wiem czy młoda, czy stara. I czy nie jakaś maskara. Ale głos ma miły”. „Miły głos! Chryste... No to trzeba ją sobie obejrzeć. A właściwie posłuchać. I – mówisz – że nigdy jej tu wcześniej nie było? Może jest z osady po drugiej stronie jeziora. Oni rzadko do nas zaglądną, mają swoje własne sprawy. To rzecz powszechnie wiadoma”.

Pepe lubił fantazjować, ale tym razem nie bujał zanadto. Rzeczywiście była jakaś dziwna. Obejrzeliśmy ją sobie już następnego ranka. Długi nawet próbował *nawijać* (Długi miał *gadane*, że hej!), ale nawet nie spojrzała na niego. Coś przecież ciągnęło nas do niej i zaczęliśmy obserwować dziewczynę z ukrycia. Najpierw ja, Długi i Jaszczur, potem dołączyli inni. Maks tylko nas wyśmiał, miał inny, zdecydowany, może nieco jednostronny pogląd w kwestii kobiet. „Nadajcie sprawie kryptonim: ‘dziewica jeziorna’, a jak już ugadacie, co i jak, możecie do mnie zadzwonić. Przyłączę się”.

Nieznajoma przyjeżdżała na targ prawie codziennie. Jej niewielki wiklinowy kosz wyłożony był liśćmi wierzby i przytroczony do bagażnika starej przerdzewiałej damki. Jak utrzymywała równowagę na tych wkołojeziornych wertepach, wiedziała tylko ona. Pewno większą część drogi szła, prowadząc swój rower. Ryb nie miała za dużo, zwykła drobnica, jakieś karasie, płotki, ukleje, kiełbiki, czasem trafił się okoń, czasem szczupak lub leszcz. Towar skromny i utarg niewielki. „Że też chce jej się pedałowac taki kawał drogi, musi im bieda w osadzie doskwierać”. Ubrana zawsze tak samo, biała plisowana spódnica, biała kurtka z kapturem nasuniętym głęboko na twarz (kurtki nie zdejmowała nawet w ciepłe dni),

spod którego wysuwał się kosmyk czarnych jak smoła włosów, na nogach żółte sandały. W koszyku zamknięta na holenderski kapsel butelka z grubego, ciemnego szkła, z wodą, może jakimś sokiem. No i ta książeczka. Zawsze taki sam, niezmienny rytuał: kosz i butelka na stół, rower prask na ziemię, ona na stół obok kosza, książka w rękę, głowa w książkę, twarz schowana pod kapturem, i co jakiś czas ciche, melodyjne: „Ryby, świeże, z dzisiejszego połowu, tanio”. Głos brzmiał jak igranie wiatru w liściach i gałęziach drzew rosnących przy targu i miało się wrażenie, że to drzewa sprzedają te ryby, nie ona. Z nikim nie rozmawiała, czasem tylko zdawało się, że czegoś nasłuchuje uważnie. Na nasze nieudolne szczeniackie zaczepki wzruszała ramionami i tylko głębiej chowała twarz w kapturze. „Jak ci na imię?” Cisza. „Jesteś z osady po drugiej stronie jeziora?” Cisza. „Skąd te ryby? Łowi je twój ojciec, brat, a może twój chłopak?”. Cisza. „To jak, masz chłopaka?”. Cisza. „Po ile ten szczupak?” „Po trzydzieści za sztukę”. „A co pijesz z tej butelki?” „Rosę”. „Rosę??” Cisza...

\*\*\*

Z cyklu *Daimonia*

*Guanyin*, chiński odpowiednik indyjskiego bodhisattwy *Awalokiteśwary*, „Obserwującego dźwięki świata”, przedstawiany w postaci kobiecej (japońska *Kannon*). Jeśli cierpiąca istota wypowie jej imię i gorliwie ją wezwie, G. usłyszy wezwanie i wybawi tę osobę od trosk i cierpienia.

Według legendy przytoczonej przez Josepha Campbella.

Ryszard Lenc